W. Falenski

№ 34.

Warszawa dnia $\frac{12}{24}$ Sierpnia R. 1867

# TYGODNIK MÓD i NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

## KAGOCI W PYRENEACH.

(Dalszy ciąg).

Według powszechnie przyjętego zwyczaju, Kagot musiał trzymać się daleko od innych przechodniów, aby wypadkiem odzież jego nie dotknęła ich sukni, w razie natłoku powinien był stanąć nieruchomie w jakimś kącie, lub zwrócić się na bok jeśli tylko istniała jaka inna droga.

Baskowie surowiéj, okrutniéj jeszcze, obchodzili się z niemi. Prócz jednego osła i jednego wieprza nie pozwolili im pod żadnym pozorem więcéj utrzymywać trzody, a i tych nie wolno im było paść na miejscowych pastwiskach. Jeśli zaś niekiedy niemiłosierni ciemięzcy pozwalali Kagotowi naciąć nieco trawy dla osła, to jedynie dla własnéj korzyści, bo nie mogąc nieraz obejść się bez pracy nieszczęsnego parji, musieli ułatwiać mu przenoszenie się z miejsca na miejsce wraz z narzędziami.

Ma się rozumieć że nie mogli zajmować żadnych posad, ani pełnić żadnych obowiązków publicznych, skoro postanowienia rządowe utwierdzały rzucone na nich przez ludność przekleństwo.

I rzecz dziwna, dziś prawie nie do uwierzenia, ta niczem nie usprawiedliwiona nienawiść, wstręt i wzgarda, utworzyły tak niezłomny pancerz zabobonu i przesądu, że samo nawet duchowieństwo przebić go nie umiało, i prawie nie uważało Kagotów za swe owieczki, choć byli katolikami i wypełniali wszelkie obowiązki religijne. Nie wolno im było wchodzić do kościoła głównemi drzwiami; wybijano dla nich w kącie oddzielne małe drzwiczki, których progu nie przestępował nigdy nikt z ludzi *czystéj rassy.* Drzwiczki te bywały bardzo nizkie, aby wchodząc Kagoci musieli pochylać się, na znak pokory i posłuszeństwa. Wszedłszy do Swiątyni Pańskiéj nie wolno im było umoczyć palcy w wspólnéj kropielnicy ani przystąpić wraz z innymi do stołu Pańskiego; wyznaczono im najodleglejsze miejsce w kącie po za drzwiami, i biada temu ktoby się był poważył przestąpić niewidzialną granicę!

Jeśli w pewnych miejscowościach, a mianowicie w niektórych wioskach w Pyreneach, kapłani domagali się uporczywie, aby biedakom tym dozwalano przystępować do Stołu Pańskiego, musieli stawać o kilka kroków od nich i po kolei podawać im N. Sakrament na drewnianych widełkach.

Po śmierci grzebano Kagotów na oddzielnym kawałku ziemi, wyznaczonéj zwykle w najodleglejszéj północnéj części cmentarza. Jeśli pozostawał po zmarłym jakiś spadek, ten przechodził na własność gminy, z wyjątkiem sprzętów i odzieży, których nikt nie chciałby się dotknąć, bo jako skalane, i że tak powiem, zarażone nieczystością, do Kagotów tylko należeć mogło.

Była to właśnie chwila w któréj wyższe władze Państwa, zaczęły się spostrzegać że srogie i barbarzyńskie postępowanie, ta straszna klątwa jaka w przekonaniu opinji publicznéj, ciążyła na Kagotach, niczem nie były usprawiedliwione; dla tego nie chcąc uświęcać jéj zbyt surowymi wyrokami, parlament tuluzki postanowił, że sami tylko przywódzcy z powodu wynikłego buntu zostaną ukarani śmiercią.

Lecz zarazem ustępując wymaganiom przesądu i zbyt zaciętéj nienawiści ludności, powiedziane w tymże wyroku: że odtąd nie wolno Kagotom wchodzić do miasta Lourdes jak tylko przez bramę Copdet, że powinni iść rynsztokami, i pod żadnym pozorem ani jeść, ani pić, ani odpoczywać w powyższem mieście. Tenże wyrok parlamentu stanowi w konkluzji, „że gdyby ktoś z plemienia Kagotów, poważył się przekroczyć którykolwiek z tych zakazów, wtedy na wzór Shylock'a, mają mu wydrzeć po kawale ciała z obu stron krzyża, z zastrzeżeniem aby waga każdego kawałka nie przenosiła dwóch łutów.'

Aż do końca XVI wieku zabójstwo Kagota nie uchodzi tu bynajmniéj za zbrodnię, uważano je na równi z zabiciem szkodliwego zwierza. Jak mówi ówczesna kronika, 1600 roku, banda tych potępieńców pojawiła się nagle w opusztoszałym pałacu Mauvezin, i tam, czy dla zabawy czy w chęci dokuczenia, starali się utwierdzić przekonanie o swéj czarodziejskiéj mocy; skutkiem czego nie mało dali się we znaki okolicznym mieszkańcom. Za pomocą akustyki, któréj znali tajemnice, zapełniali las strasznemi jękami, które nieustannie ze wszech stron słyszeć się dawały, szerząc postrach i przerażenie wpośród mieszkańców *czystéj rassy*.

Nie podobna było uzbierać gałęzi a tym więcéj ściąć drzewa, aby natychmiast nie odzywały się nadludzkie jakieś głosy; nie podobna było mieć nawet czystéj wody do picia, ponieważ wszystkie źródła były zatrute, z powodu że Kagoci czerpali z nich wodę. Nie dość na tem, rządząc się prawem odwetu, Kagoci porywali nie raz bydło, i różne drobne w okolicy popełniali kradzieże, co wszystko dało powód że mieszkańcy postanowili wymordować Kagotów z zamku Mauvezin. Łatwo było powziąść podobne postanowienie, ale trudno bardzo go wykonać. Do zamku Mauvezin można się tylko było dostać za pomocą zwodzonego mostu, a Kagoci byli czujni i wytrwali. Ktoś przeto doradzał podstępem zyskać ufność nieprzyjaciela. Urzeczywistniając swój zamiar twórca projektu położył się nad brzegiem drogi prowadzącéj do zamku Mauvezin, udając chorego, spostrzegłszy go, zdjęci litością, Kagoci zanieśli do siebie, doglądali troskliwie i uwierzyli przyjaznym zapewnieniom i słowom wdzięczności powróconego do zdrowia. W kilka dni późniéj, kiedy raz wszyscy Kagoci wyszli do lasu i spokojnie grali w kręgle, zdrajca opuścił towarzyszów, pod pozorem że idzie napić się wody. Wszedłszy do zamku, podniósł natychmiast most zwodzony, przez co pozostałym w lesie odjął możność ucieczki, poczem wstąpił na platformę górującą nad wioską i zatrąbił w róg myśliwski. Na to umówione hasło czatujący ludzie *czystéj rassy*, napadli na grających w kręgle Kagotów i wymordowali wszystkich. Taka rzeź ludzi spokojnych i bezbronnych była zbrodnią i podłością zarazem, ia jednak ani w Tuluzie, ani gdzie bądź indziéj, akta parlamentu nie przedstawiają nawet śladu wyroku przeciw jéj sprawcom. Sporządzano i utrzymywano jak najregularniéj spisy nazwisk i miejsc zamieszkania wszystkich których uważano za Kagotów, a że małżeństwa między *przeklętemi* a osobami *czystéj rassy* były jak najsurowiéj zakazane, zatem nieszczęśliwi ci żadnéj nie mieli nadziei, aby kiedykolwiek mogli być przypuszczeni do używania praw wspólnych. Jednak rzecz dziwna, mimo tak strasznego prześladowania, byli oni z natury dobrzy, łagodni, uprzejmi i z rzadkiemi zdolnościami umysłu. I oni także mieli swoich minstreli; po dziś dzień jeszcze śpiewają w Bretanji wiele utworzonych przez nich śpiewek. Jakiegoż to dobrego, szczęśliwego potrzeba usposobienia jakiego zamiłowania pracy, aby życie takie znosić i nieprzeklinać!

W początkach XV wieku, Kagoci z Nawarry pragnąc siebie i swoich wyswobodzić od strasznego gnębiącego ich prześladowania, podali pokorne zażalenie do papieża; uskarżając się że są wyłączeni ze społeczeństwa bliźnich i odpychani przez kościół, pod pozorem, że przodkowie ich pomagali niejakiemu Rajmundowi, hrabiemu Tuluzy, który podniósł bunt przeciw Stolicy świętéj. Błagali zarazem Ojca św. aby ich nie karał za winy naddziadów! Skutkiem tego wydaną została bulla dnia 13 maja 1515 r. mocą któréj wzbraniająca wszelkiego odtąd prześladowania i nakazująca dobre obchodzenie się z Kagotami i przypuszczania ich do wszelkich praw i przywilejów jakich reszta ludności używała. Tak więc w pośród tylo-wiekowego ucisku i tak dzikiego prześladowania, nikt nie starał się powściągnąć nadużyć zbrodniczych, nikt nie ujął się za nieszczęśliwemi ofiarami ciemnoty i przesądu. Bulla papiezka rzuciła pierwsze podstawy ich wybawienia, które jednak dopiero roku 1789 weszły we właściwe wykonanie.

Po wydaniu Bulli, Papież polecił Don Juanowi de Santa Marja de Pampelune, ażeby czuwał nad wykonaniem jéj w Hiszpanji; gdy jednak tenże nadzwyczaj ociągał się z wypełnieniem włożonego nań obowiązków, Kagoci ośmieleni przychylną dla nich Bullą, po raz pierwszy odważyli się przemówić do władz cywilnych. W tym celu zrobili podanie do Kortezów zgromadzonych w Nawarze, w którem powołując się na powyższą Bullę, żądali poparcia i opieki. Wysokie zgromadzenie odrzuciło podanie jako pozbawione *zasady i słuszności*, oznajmując zarazem: że przodkowie podających nie mieli nic wspólnego z Rajmundem, hrabią Tuluzy, ani z kimkolwiek bądź należącym do tak znakomitéj szlachty, że pochodzili wprost od Giezego, który ściągnął na siebie przekleństwo proroka, aby został dotknięty trądem wraz z całem swojem pokoleniem aż do końca wieków, za to, że poważył się oszukać Naamana, jak to powiedziane jest w IV księdze królewskiéj, Roz: V. parag. 2.

Daléj członkowie kortezów mówią jeszcze. „Jeśliby przywiedzione przez nas przyczyny wydawały się komuś niedostateczne, i jeśliby nam dowodzili że obecnie Kagoci nie są trędowaci, odpowiedzielibyśmy że dwa są rodzaje trądu; jeden widzialny dla wszystkich, drugi niedostrzeżony, którego nawet dotknięty widzieć nie może.

Daléj, nie ulega zaprzeczeniu, że gdy tylko Kagot stąpi nogą, trawa pokrywająca ziemię natychmiast pochyla się i więdnie, co jest najniezawodniéj-

szem dowodem nadprzyrodzonego gorąca ciała, podobne wywołującego objawy.

Nadto niezliczeni, godni wiary świadkowie utrzymują, że jeśli ktoś z członków tego plemienia weźmie w dłonie jabłko i potrzyma go tak godzinę, po upływie tego czasu stanie się więcéj pomarszczone i zwiędłe, niż gdyby całą zimę przeleżało w pokoju.

Powszechne przytem mniemanie twierdzi, że wszyscy Kagoci rodzą się z ogonem, i tylko chytra przezorność rodziców, usuwa go zaraz po urodzeniu. Już to samo że nie raz widzimy jak dzieci *czystéj rassy* przyszywają do sukien Kagotów baranie ogony, a ci, *zajęci pracą* bynajmniéj tego nie dostrzegają, nie jestże dostatecznym twierdzenia tego dowodem?

„Nareszcie, na zakończenie, odpowiedź kortezów twierdzi: iż wszyscy Kagoci szerzą w około siebie tak nieznośną woń, że już to samo jest dostatecznym dowodem, iż są to stworzenia najgorszego rodzaju, skoro Pismo św. mówi o kadzidle wydawanem przez sługi Boże, i o cudownéj woni jaką wydziela świętość.“

Oto dosłowny przekład postanowienia, objętego po dziś dzień w aktach posiedzień, kortezów i takie to dowodzenia nie tylko obalały skargi i żądania, ale nawet postawiły biednych Kagotów w gorszem jeszcze, jeśli to być może, położeniu. Daremnie Papież napominał niejednokrotnie, aby zaprzestano dzikiego prześladowania i uważano Kagotów na równi z innemi dziećmi kościoła; duchowieństwo hiszpańskie nie opierało się niby woli papieża, nie sprzeciwiało się jednak mieszkańcom nie pozwalającym Kagotom przestępować po za wyznaczone sobie w kościołach miejsca, a i chować się w parafjalnych cmentarzach.

Przed końcem XV wieku, Karol V wydał kilka postanowień na korzyść Kagotów, ale nadto, aby ukarać przeklęte plemię za ducha buntu i zuchwalstwa którym ożywieni poważyli się skarżyć, na władze miejscowe zabrali im wszelkie posiadane narzędzia do pracy. Ileż to w tenczas nieszczęśliwych starców, ile rodzin umierało z nędzy i głodu, skutkiem tego barbarzyństwa, pozbawiającego ich możności zapracowania na życie.

Jednak raz wszedłszy na tę drogę, Kagoci nie przestawali do czasu zanosić podania do władz i szukać opieki prawa, które nareszcie w końcu XVII wieku oświadczyło się na ich korzyść. Lecz wszystkie podobne postanowienia zazwyczaj martwą tylko pozostawały literą, a biedne ofiary małe bardzo odnosili z nich korzyści. Wyroki i prawa nie zdołały usunąć przesądów, tylowiekowym utwierdzonych zwyczajem i jeszcze w końcu XVIII wieku nienawiść, wstręt i pogarda nieszczęśliwych parjów istniały w całéj swéj sile.

Przygnębieni pogardą i prześladowaniem, Kagoci nie raz pewnie myśleli o opuszczeniu miejsc w których dola ich tak była straszna, ale emigracya była dla nich niemożliwą. Niech tylko bowiem który z nich zachciał przenieść w inne miejsce nędzną swoją chatkę, ściągał zaraz gniew i podejrzenia całéj gminy. Raz tylko w roku 1695, rząd hiszpański nakazał alkadom, aby wyszukali wszystkich członków téj *przeklętéj kasty*, i wydalili ich z królestwa przed upływem dwóch miesięcy, pod karą pięćdziesięciu dukatów od każdego Kagota, znajdującego się na ziemi hiszpańskiéj po oznaczonym terminie. Zaraz po ogłoszeniu tego edyktu, lud zebrał się gromadnie, wypędzając kijami i batami *potępieńców*, mieszkających w sąsiedztwie; dowiedziawszy się o tem Francuzi nie pozostali także bezczynni, siłą odparli najście, wypędzając biednych Kagotów w góry Pirenejskie, gdzie większa część stała się pastwą dzikich zwierząt lub wyginęła z nędzy i głodu.

Nie wolno było Kagotom wychodzić z chatek bez trzewików i rękawiczek, aby dotknięciem nie zarażali miejsc, któremi przechodzić mieli, baryer i kobylic na których mogliby się oprzeć, bo według powszechnego mniemania samo dotknięcie mogło zaszczepić w innych trujący jad, wydobywający się z potępieńców.

Rzecz niepojęta, skąd powstać mogła ta ogólna odraza i wstręt jaki wszędzie budzili nieszczęśliwi Kagoci. Ogólnie za powód podawano trąd, którym niby mieli być dotknięci; jednak wielu uczonych doktorów, powodowani uczuciem ludzkości examinowali ich jak najściślej, poddawali różnym doświadczeniom i wszystkie dowodziły najzupełniejszéj bezzasadności czynionego im zarzutu. I tak, jeszcze w 1600 r. chirurgowie króla Nawarry, puścili krew dwudziestu-dwu młodym i zdrowym Kagotom obu płci, aby rozebrać ich krew i wydobyć z niéj jakąś sól szczególną, mającą nadawać ich ciału tak nadzwyczajne ciepło, ale cóż, doświadczenie przekonało że krew ich nie różniła się w niczem od krwi innych ludzi.

Niektórzy z badających ich lekarzy, zostawili opisy a nawet portrety Kagotów, zupełnie podobne do nielicznych potomków tego nieszczęsnego plemienia, rozproszonych po dziś dzień na zachodzie i południu Francji. Jak niegdyś ich przodkowie, są oni wszyscy wysocy, dobrze zbudowani, obdarzeni silną organizacją; płeć mają białą, ładne kolory twarzy, usta grube, ale dobrze narysowane, oczy blado niebieskie, a jak utrzymują niektórzy badacze, spojrzenie głębokie i myślące. W dawnych sprawozdaniach czytamy, że cała ich postać głębokim oddychała smutkiem, i poczytują im za winę, że nie są tak weseli jak inni ludzie. Dziwne wymaganie!

Najobszerniejsze dane o zdrowiu, budowie, i usposobieniach Kagotów, pozostawił nam uczony doktór Guyon, żyjący w przeszłem stuleciu. I on równie jak wielu z jego kolegów, starał się przekonać o prawdzie ogólnego twierdzenia, jakby potępieńcy ci wyziewali jakąś woń straszliwą, którą zarażali wszystko czego się dotknęli. Najściślejsze badania nic podobnego nie wykazały. Z kolei badał drugie, po dziś dzień jeszcze utrzymujące się mniemanie, jakoby uszy Kagotów były zupełnie innego składu niż u innych ludzi, ponieważ są okrągłe, chrząstkowate, pozbawione niższéj części mięsnéj, w którą zakłada się kolczyk. Przekonał się wprawdzie, że rzeczywiście wielu egzaminowanych przez niego Kagotów, mieli uszy okrągławe, ale zgodnie z innymi swemi kolegami, nie uznał aby to było dostateczną przyczyną, do zupełnego wyłączenia ich ze społeczeństwa i zabronienia spełniania wszelkich obowiązków, tak duchownych jak cywilnych.

(d. c. n.)

# KILKA USTĘPÓW

z Teofila Gautiér.

*Ucieczka.*

KADIDJA.

Żadnéj gwiazdki na obłoku,
Nad księżycem chmury cieką—
Noc ukryje nas w pomroku—
Uciekajmy ztąd daleko...

AHMED.

Czyż dla ciebie nic nie znaczy,
Braci twoich gniew surowy?
Czyż nielękasz się rozpaczy,
Siwowłoséj ojca głowy?

KADIDJA.

Czem są dla mnie groźby czyje?
Mnie przekleństwa nieurzeką!
W tobie dusza moja żyje,
Uciekajmy ztąd daleko!..

AHMED.

Brak mi siły — cały drżący,
Czuć się zdaję, jak w mem łonie,
Braci twoich kindżał lśniący,
W mojéj piersi chłodny tonie.

KADIDJA.

Dzielna moja klacz stepowa,
Stóp jéj ludzie niedościeką,
I przegonić wiatr gotowa—
Uciekajmy ztąd daleko!

AHMED.

Na pustyni bez przechodu,
Zasypanéj skwarnym piaskiem;
Nie znajdziemy cieniu, chłodu,
By się skryć przed słońca blaskiem.

KADIDJA.

Dniem, cień rzęs mych cię otoczy,
A strudzeni dzienną spieką,
Uśniem w cieniu mych warkoczy—
Uciekajmy ztąd daleko!

AHMED.

Gdy nam miraż w omamieniu,
Szlak zasłoni, pośród znoju,
Umrzem w głodzie i pragnieniu,
Bez pokarmu i napoju.

KADIDJA.

Pełne szczęścia serce moje,
Tryśnie łez radości rzeką—
Czyż cię niemi nienapoję?
Uciekajmy ztąd daleko!

*Jan Prusinowski.*

# KOCHANKOWIE Z TERUELU.

## DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

**Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.**

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

**K. E.**

(Dalszy ciąg).

Marsylia. Sułtanka?

Zulima. Królowa!

Marsylia (daje jéj płótno krwią zapisane). Masz!—tem odpowiadam na twoje uczucia. Powierzam ci to pismo, pokaż je niezwłocznie człowiekowi zaufanemu. Ratuj się.

Żulima. Cóż to? nieszczęście?..

Marsylia. Małżonek twój wraca do Walencji.

Zulima. Kiedy?

Marsylia. Dzisiaj — i téj nocy jeszcze ty i on zginiecie z rąk zdradzieckich.

Zulima. Któżby śmiał targnąć się na nas?

Marsylia. Merwan twój mąż domniemany. Jeżeli więc nie cofniesz twéj zemsty, to zamilknę, a zgon czeka was okropny.

Zulima. Zkąd wiesz o sprzysiężeniu?

Marsylia. Wczoraj miotany gorączką, roztwarłem drzwi mojéj pieczary, i wybiegłem na korytarz więzienny! Słyszę rozmowę. Podsłuchuję. Było to zgromadzenie waszych przeciwników, Merwin im przewodniczył. Nakreślił plan na twego małżonka. Umyśliłem ocalić go czemprędzéj, ażeby go zobowiązać do udarowania mnie wolnością. Spisałem wszystko na tem tu płótnie — a resztę wiesz już. O wynagrodzeniu nie mówię — zostawiam to twojéj sprawiedliwości. Zawołaj niezwłocznie Wezyra, niech, zbada ten plan — ty zaś przyjmij odemnie te lekcją zemsty.

### Scena 6.

Ciż i Adel.

Adel. Sułtanko — król powrócił do Walencji.

Zulima. Straszne przeznaczenie!

MARSYLIA. I cóż kłamały moje usta?

ADEL. Król znajduje się w haremie. Jeżeli tu wpadnie, a ujrzy niewolnika....

ZULIMA. Nieszczęście moje dosięgło szczytu.

ADEL. Wisisz na włosku — rozkaż.

MARSYLIA. Dość będzie wyprowadzić mnie ztąd. Wierzaj moim ustom, umiem zapominać doznanych krzywd.

ZULIMA. Podziwiam cię (na stronie) Mogę się jeszcze ocalić. (do Adeli) Wyprowadź go tędy. (Otwiera drzwi ukryte za łóżkiem w murze) Poza haremem pozwól mu wypocząć.

ADEL (do Marsyliego). Spiesz się.

MARSYLIA (wychodząc). Nieumiem nienawidzieć.

(Odchodzi).

ZULIMA (sama). I ja także. Idź, zażyj szczęścia przy kochance, a ja odpokutuję. Ale nie!.. (otwiera szafkę, wyjmuje długą flaszeczkę, któréj korek wygięty jak sztylet. Porywa za trzonek.) Uniknę obojga jednem uderzeniem ostrza zatrutego. Rana będzie niewidzialna — powiem że wyzionął ducha z powodu cierpień, pomimo starań i zabiegów moich. Milcz litości!.. (wychodzi drugiemi skrytemi drzwiami.)

### Scena 7.

Zeangir.—Żołnierze Maurytańscy.—Kat. — Przewoźnik.

(wchodzą drzwiami na lewo).

ZEANGIR (do żołnierzy). Odprowadzić do więzienia tę piękność przeniewierczą (do kata). Zetniesz głowę Merwanowi, i utwierdzisz ją na balkonie. (do przewoźnika) Téj nocy zabierzesz trumnę do zatopienia, a chociaż usłyszysz w niéj jęki, rzucisz ją do morza.

---

## AKT II.

Sala w domu don Pedra de Segura.

### Scena 1.

*Don Pedro. — Marja Gomez.*

MARJA. Panie, panie!

PEDRO. Cóż tam Marjo Gomez?

MARJA. Odbieramy już odwiedziny.

PEDRO. To rychło. Zaledwie uściskałem córkę i żonę, już mnie nachodzą. Powinniby zrozumieć, że mi należy wpierw odpocząć w gronie rodzinnem. Ktokolwiek przyszedł, powiedz mu, że jutro przyjmować będę życzenia całego Teruelu.

MARJA. Prawda, święta prawda. Niechajby nam nie przeszkadzali. Requiescant in pace. Jutro mogą się zabawić jak im się spodoba — a solis ortu, usque ad oceasum; od chwili skoro słońce zajrzy do ogrodu, aż dopóty nie ustąpi z domu. Tak mawiał ojciec przełożony zakonu, w którym odbywałam nowicjat. Tem więcéj że ten, co się z tobą widzieć pragnie, jest don Martin de Marsylia.

PEDRO. Marsylia? To co innego. Nie ukrywam się nigdy przed wrogiem.

MARJA. Ach—wiem że tego nie byłby powiedział ojciec wikary.

(wychodzi)

### Scena 2.

DON PEDRO (sam). Chciałbym zakończyć ten pojedynek — za jednym ciosem, i to w téj chwili. Don Martin chorował obłożnie — snać że wraca do zdrowia. A jeżeli zupełnie zdrowia nie odzyskał, nie zechce przecież skrzyżować się ze mną. Przynajmniéj słuszność jest po mojéj stronie, i to mi wróży zwycięztwo.

### Scena 3.

*Don Martin. Don Pedro.*

MARTIN. Witam cię z powrotem Don Pedro Segurra.

PEDRO. Życzę wam zdrowia szlachetny Don Martin Garses de Marsilia. Chciéj zasiąść. Zastajesz mnie rozbrojonego (przepasuje się szpadą leżącą na stole). Słyszałem, żeś chory. Jakże się miewasz?

MARTIN. Wyzdrowiałem zupełnie.

PEDRO. Nie sądziłbym.

MARTIN. Domingo Celada.

PEDRO. Dzielny człowiek, doprawdy.

MARTIN. Bo zawsze w pociskach wygrywa partją.

PEDRO. Rozumiem was. Pójdźmy nad brzeg Gwadalkwiru—

MARTIN. Don Pedro — pragnę pierwéj rozmówić się z tobą.

PEDRO. Siądźmy. Mów — słucham. (siadają).

MARTIN. Przyczyną pojedynku naszego była...

PEDRO. Pozwól że ja ci ją przypomnę. Usta twoje śmiały wyrzec, iż z powodu mojéj chciwości straciłeś syna. Otóż pohańbienie, domagające się odwetu.

MARTIN. Sądziłeś, że stchórzę?

PEDRO. Gdybym cię uważał za takiego, wówczas Don Pedro de Segurra nie stanąłby z tobą do walki.

MARTIN. Nie odwracałem nigdy oblicza od niebezpieczeństwa—

PEDRO. Jeżeli rozprawa nasza równą być może —

MARTIN. Będzie nią dla tego samego.

PEDRO. Krwawa, śmiertelna. Jeden z nas poledz musi.

MARTIN. Mnie śmierć — ciebie zemsta dosięgnie. Zamorduj mnie! Czekam na to — (odrzuca szpadę— zgina kolana przed don Pedrem). Oddaję ci szpadę i życie.

PEDRO. Co czynisz? Żelazo moje nie przeszywa tego, co sam piersi nadstawia.

MARTIN. Honor twój woła o krew Marsyliego. Wytocz ją!

PEDRO. Zaprzedasz mi ją na placu boju. Sam wywołałeś pojedynek.

MARTIN. Twój wzgląd może być rozjemcą.

Pedro. Mój wzgląd?.. Zdumiewasz mnie.

Martin. Wysłuchaj — a potem rozstrzygniesz. Jest temu miesięcy trzy, jak mnie powaliła na łoże boleści wszechmocna dłoń, która wszystkiem kieruje. Rodzina moja przerażona niebezpieczeństwem, udała się do twojéj małżonki, błagając ratunku. Umiejętność leczenia czy też łaska jakaś, którą niebiosa zlały na nią, wprawiają w podziw całe miasto, odkąd zostawszy siostrą miłosierdzia wydziera śmierci tysiące dusz. Urażony na was, odpychałem pomoc waszéj małżonki. „Nie chcę (mawiałem) odzyskać zdrowia, jeżeli je mam zawdzięczać dłoni nieprzyjacielskiéj.“ Zaciekłość wzrastała równo z cierpieniami. Śmierć roztoczyła skrzydła nad wezgłowiem. Nakoniec nocy jednéj — och, co za noc przerażająca!.. Boleść zrobiła mnie bluźniercą. Błagałem z wściekłością o nóż. Piekło śmiało się, słysząc moją rozpacz. W tem opodal drzwi, a potem przy łożu zjawia się pielgrzym z zakrytem obliczem. Zdawał się być aniołem zbawienia i pokoju. Mówił ze mną, pocieszał mnie. Wlał mi w usta napój błogosławiony, i ulżył boleściom. Niechciał zdjąć maski — wyszedł. Ozdrowiałem téj saméj nocy; i odtąd śledziłem kroki jego. Krzyżowałem po różnych ulicach — wreszcie spostrzegłem, jak zawracał ku waszemu domowi, wstąpił do owéj pustelni, która graniczy z waszym ogrodem. Odrzucił zasłonę — księżyc zaświecił w twarz jego. Ten pielgrzym — czy wiesz — to była twoja małżonka!

(d. c. n.)

---

# O UBIORACH

## KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Sądziemy że czytelniczki nasze nie wezmą nam za złe, jeźli przerywając chwilowo opisy sukien, widzianych na ulicach lub po magazynach paryzkich, stawiemy im przed oczy świetne stroje, na które składała się cała Francja, a które niebawem rozbiegną sie na najdalsze świata strony.

Przedmiotem największego podziwu jest to suknia koronkowa *point d'Alençon*, złożona z długiéj spódnicy w kliny, z szerokiéj berty, zasłaniającéj cały stanik i z szarfy z długiemi końcami. Nic piękniejszego jak deseń téj sukni, w wielkie ciągnione kwiaty. Jest to prawdziwe arcydzieło pracy i cierpliwości ludzkiéj. Obliczono że gdyby jedna robotnica, pracowała około téj sukni, potrzebowałaby na jéj wykonanie 10,500 dni. Gdyby więc zarabiała tylko po trzy franki dziennie, suknia musiałaby kosztować przeszło 30,000 franków. Dodajmy do tego cieniuchne nici koronkowe, dodajmy zarobek należący się przedsiebiercy, a przypuścimy łatwo że cena téj sukni musi dojść przynajmniéj 50,000 franków. Dotąd nie została jeszcze kupioną, pomimo napływu monarchów do Paryża.

Zwróciła także uwagę naszą inna suknia koronkowa, wykonana w *Calvades* w Bretanii. Deseń na niéj ciężki gotycki w guście z czasów Ludwika XIII.

Z innych francuzkich koronek, zadziwiają pięknością wykonania, suknie czarne *Chantilly* i czarne gipiurowe. Do tańszych należą suknie z wełnianéj czarnéj koronki zwanéj *Lama* i z białéj wełnianéj *Yack*. Sukien walansienowych wcale nie ma, ale za to widać prześliczne muślinowe szlafroczki i suknie, przystrojone wolantami, wstawkami i medaljonami walansienowemi. Cena tych szlafroczków i sukien dochodzi kilku tysięcy franków.

Nie możemy tu pominąć prześlicznych sukien z koronki brukselskiéj, które stanowią główną ozdobę działu belgijskiego. Anglja wystawiła niemniéj pyszne suknie z koronki angielskiéj zwanéj *Honiton*.

Oprócz sukien, uderzają w oczy niezliczone chustki i rotondy koronkowe, takież peleryki, kołnierzyki, szarfy, wachlarze i parasolki. Najmodniejsze chustki są czworograniaste odwracane; te nierównie wspanialéj wyglądają od zwyczajnych rogówek.

Z nowości, pojawiły się gipiury kolorowe wyrabiane wełną w deseń Turecki, zowią je *dentelle Cachemire*. Uważaliśmy taką beduinę całą zarobioną w palmy, i prześliczny kaftaniczek bez rękawów. Szlaki z tejże koronki rozmaitéj szerokości, używane będą do naszycia sukien, spódniczek i okrywek. Wspomniemy tu nakoniec o koronkach jedwabnych kolorowych, zwanych *Giberville* od miejsca gdzie je wyrabiają. Są to różnobarwne liście i kwiaty, aplikowane na białym tiulu jedwabnym, zalecają się nadzwy-

czajną lekkością, lecz podług nas nie zastąpią nigdy kwiatów robionych.

Uważaliśmy też wolanty blondynowe przerabiane srebrem i złotem, téj zimy używano ich bardzo do ozdoby sukien balowych. Czarne fanszoniki przerabiane złotą nitką, stanowią śliczne ubranie głowy na teatr lub na wieczór. Podobały nam się też bardzo podobne kaftaniczki, sięgające ledwo do stanu.

Po koronkach zasługują na wzmiankę przepyszne suknie haftowane całe na muślinie, wykonane w górach Lotaryngji, równie jak w mieście *Nancy*. Między innemi ukazano na wystawie suknią z tychże rękodzielni, którą miała cesarzowa Eugenia na podwleczeniu różowem, w dniu uroczystego wjazdu do Nancy w roku zeszłym.

Z haftami lotaryngskiemi, mogą tylko współzawodniczyć hafty szwajcarskie. Te ostatnie mają tę wyższość że lubo wykonane mechanicznie w maszynie, mało ustępują pierwszym, pod względem delikatności wyrobu; w cenie zaś nieporównana zachodzi różnica.

Miasto Lyon wystąpiło z doborem przepysznych materji jedwabnych, któremi zapełniło wielką galerją. Piękny widok przedstawiają te różnobarwne aksamity, plusze, atłasy i mory, jedne gładkie, drugie w szerokie pasy, inne w rzucony deseń. Do najmodniejszych dziś materji należy tak zwana *Brokatella*. Jest to ciężka materja *gros grains* przerabiana w wielkie bukiety z kwiatów naturalnéj wielkości. Suknie w tym rodzaju wybrane przez cesarzowę Eugenją, odznaczają się prawdziwie wytwornym gustem. Jedna z nich czarna, przerabiana w bukiety, z pąsowych i białych kwiatów, druga także czarna, w bukiety z bzu lilla i białego, naturalnéj wielkości. Trzecia popielata w rzucane kwiaty bez liści rozmaitych rozmiarów. Czwarta koloru *sang de boeuf* czyli skabiozowego w bukiety z białéj akacji. Piąta brzoskwiniowa, w rzucane gwoździki i róże. Szósta na tle koloru złotego, w przepyszny deseń z białych kwiatów.

Uważaliśmy także ciężkie materje przerabiane w deseń aksamitny. Z tańszych materji śliczne są brokatele w lżejszy i drobniejszy deseń mozajkowy; oraz materje *chinée*, przerabiane rozmaitemi kolorami. Niektóre suknie mają szlak odpasowony u dołu, inne odpasowany wolant.

Z pomiędzy kosztownych okrywek zwróciły uwagę naszą wielkie rotondy aksamitne przeznaczone do wejścia na bal, haftowane złotem i jedwabiami. Do najpiękniejszych należy rotonda czarna aksamitna, cała zahaftowana w kwiaty naturalnéj wielkości. Rotondę tę zakupił Sułtan za ośm tysięcy franków.

O innych przedmiotach z wystawy, powiemy jeszcze w dalszych sprawozdaniach.

*S. z Ż. D.*

---

## Nowości zagraniczne.

*Petit Courier des Dames*. Kapelusiki okrągłe przyjęte powszechnie na wieś i do kąpieli morskich. W Paryżu nawet młode kobiety i panienki ogólnie ich używają. Forma tegoroczna tych kapelusików bardzo mała, główki niskie, rondka proste, niekiedy jednak podwinięte w górę. Robią je z brązowéj słomy w rozmaitych odcieniach. Zwykłą ich ozdobą, stanowi woalik gazowy skręcony w koło, ze spadającemi na tył końcami. Kolor tych woalików bywa czasami zielony lecz najczęściéj brązowy.

Kapelusik *Galileusz* przyjęty na rano, bywa ze słomy brukselskiéj lub ryżowéj, w kolorze naturalnym albo brązowym, objęty brzegiem ronda aksamitką. Opasują go według woli wieńcem suchych liści, piórem lub też po prostu aksamitką z długiemi końcami.

Z kapeluszy wiązanych pod brodą, odznaczał się bardzo ładny ryżowy, fantazyjny ubrany z wierzchu bukiecikiem stokrotek, podpięty nad czołem takiemiż kwiatkami. Szarfy miał blondynowe. Inny równie ładny, biały illuzjowy przybrany był wieńcem zielonych kłosów.

Suknie krótkie do częstego ubrania robią z alpagi i lenosu. Spódniczka, suknia i paletocik powinny być jednakowe. Kostiumy te przybierają po prostu wąską pliską jedwabną w odmiennym kolorze, lub tylko w odcieniu ciemniejszym. Noszą także kostiumy z niewarowego płótna wyszywane kolorowym albo czarnym sutaszem w deseń. Nankin bardzo też używany na kostiumy, równie jak pika biała lub szamoa.

W czesaniu włosów ta zaszła zmiana, że warkocz podwiązuje się bardzo wysoko. Wielkie koki wyszły zupełnie z mody, objętość ich zmniejszyła się o połowę. Nioby nad czołem małe karbowane, opasują zwykle wstążeczką lub opaską z lawy. Długie loki za uszami powszechnie używane.

*Modes parisiennes*. Opiszemy tu szczegółowo piękne suknie wyprawione do wód morskich w Dieppe.

Suknia jedwabna koloru porzeczkowego (*groseille*) miała spódniczkę jedwabną jasno-popielatą, przybraną u dołu plisą porzeczkową, z koroneczką czarną po obu stronach. Wierzchnia suknia porzeczkowa miała takąż samą plisę. Stanik w górze popielaty, niżéj porzeczkowy, przybrany był koronką czarną. Rękawy w dwóch kolorach, łączyły się w połowie zębami, ogarnirowanemi stosownie koroneczką.

Druga suknia biała *szalinowa*, na lilla jedwabnéj, objęta była rulonikiem lilla. Na zszyciu brytów szły podobne wypustki. Miejsce stanika zastępował paletocik dęty przepasany lilla szarfą. Wierzchnia spódnica bardzo długa, zakładała się po prostu na rękę.

Suknia do podróży popielata alpagowa miała wypustki pąsowe, i takież guziki z pasmanterji. Klapki od paletocika wykładały się na wierzch, podłożone materją pąsową.

Suknie białe należą do najmodniejszych, robią je z Gazy Chambery, z alpagi, z fularu, piki i t. p. Widzieliśmy suknią Chambery z fałdowaną falbanką u dołu. Brzeg falbanki objęty był pliską białą jedwabną. Na wycięty gładki stanik, kładła się koszulka z cienkiéj gipiury. Pasek złoty dopełniał ubrania.

Suknia biała alpagowa do ziemi, przybrana była plisami z białego fularu, podobny paletocik peplum zastępował miejsce stanika.

Suknie białe pikowe krótkie wycięte w zęby, kładą zwykle na dłuższéj spódniczce kolorowéj, spódniczka powinna być gładka pikowa lilla albo szamoa. Obie spódniczki bywają wyszywane czarnym sutaszem. Takie ubranie dla małych dziewczynek ogólnie też przyjęte.

Suknie dochodzące tylko do ziemi zwane okrągłe, zaczynają się coraz bardziéj upowszechniać. Do wyjścia na ulicę ubiór taki nadzwyczaj jest praktyczny. Na pomniejsze wizyty noszą suknie jedwabne téj saméj długości, do wielkiego tylko stroju moda wymaga sukien powłóczystych.

Chustki do nosa robią z szerokim obrębem i wielką cyfrą haftowaną w rogu. Modne też są na rano chusteczki szare batystowe, dziergane kolorową bawełną.

---

## OPIS RYCINY.

---

*Ubranie pierwsze.* Spódniczka na spód fularowa niebieska, z fałdowanym wolantem. Wierzchnia spódniczka biała fularowa w niebieską kratkę, zakończona u dołu w leżące zęby. Nad zębami plisa niebieska. Paletocik krótki, wolny, zakończony w zęby mniejsze niż u spódnicy. Rękawy wązkie: u mankietów i epoletów zęby, równie jak u stojącego kołnierzyka. Na plecach przewiązane lejce z niebieskiéj wstążki. Szarfa niebieska przewiązana z lewego boku. Kołnierzyk stojący haftowany. Kapelusz fanszonik biały z tiulu jedwabnego, przybrany niebieskim kwiatem, związany na wstążki niebieskie.

*Ubranie drugie.* Suknia z fularu lub koziéj wełny w kolorze *modnym*. Pierwsza spódniczka naszyta w kwadraty pasmanterją, albo wstawką gipiurową czarną. Wierzchnia spódniczka otwarta przybrana odpowiednio; stanik, mankiety i epolety naszyte węższą pasmanterją lub wstawką, pasek związany z tyłu ze spadającemi szarfami. Kapelusz fanszonik tiulowy, przystrojony bukietem fijołków.

---

## Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

---

(Dalszy ciąg.)

*N. 8. Cyprys* (Cyprés, *Cupresus sempervirens*), z przyczyny swych twardych, sztywnych gałązek, do góry wzniesionych nakształt naszéj topoli włoskiéj, mocno ciemno-zielonéj barwy, jest symbolem smutku, ponurości, śmierci i grobu. Jakaż ponura cisza, smutek i powaga, panuje na cmentarzach perskich, tureckich lub arabskich, na których gęsto rozsiadły się gaje cyprysowe, a w nich liczne kamienie grobowe (jak u nas na cmentarzach żydowskich) wyznawców Islamu. Drzewo to rosnąc wysoko i nader wysmukle, jest także godłem głębokiéj powagi i pewnego rodzaju piękności. Już Pismo święte wychwala wysmukłą, piękną i szlachetną postawę arcykapłana Symeona, którą porównywa z cyprysem aż w obłoki sięgającym. Lecz znaczenie cyprysu jako godła smutku i żałoby jest powszechniejsze, jak powagi i wyniosłości. Starożytni Grecy jak zazwyczaj, początek cyprysu wywodzą od bogów, a przynajmniéj od pewnego młodzieńca, nazwiskiem Cyparyssus, ulubieńca Apolla, który zabiwszy przez nieostrożność jelenia przez siebie obłaskawionego, wpadł w takie zmartwienie i smutek, że pragnął wiecznie boleć i płakać; czem wzruszony Apollo, przemienił go w drzewo cyprysowe. Rzymianie używali także cyprysa jako godła śmierci, stawiając go koło zmarłych, a stos na którym miało być spalone ciało, ozdobiony bywał z czterech stron drzewkami cyprysowemi.

Lecz cała ta symbolika cyprysu, daleko nas mniéj obchodzi, aniżeli ludy Wschodu lub południowéj Europy, bo u nas cyprys choduje się tylko po oranżerjach, a nie w gruncie, jak w cieplejszych od naszego krajach. Na cyprysowem jednak drzewie (desce) ma być malowany (wedle podania) ręką św. Łukasza, cudowny obraz N. Panny Częstochowskiej bo drzewo takie nadzwyczaj jest trwałe. Nadto Biblia mówi, że nawet korab Noego, miał być zbudowany z drzewa cyprysowego, którego dużo spotrzebowano i do budowy kościoła w Jerozolimie za króla Salomona.

*N. 9. Fijołek* (Violette, *Viola odorata*), drobny skromny, ale nadzwyczaj przyjemnéj woni kwiatek, ukazujący się bardzo wczas z wiosny po naszych gajach, parkach i ogrodach; bywa także i w doniczkach hodowany, i to w odmianie pełnéj lub półpełnéj, aby mieć i w mieszkaniu fijołki już w zimie, a nawet przez rok cały.

U starożytnych, fijołek był symbolem budzącéj się ziemi ze snu zimowego. Podanie greckie niesie, że kwiatek ten, powstał z metamorfozy córki Atlasa, kiedy przed Apollem uciekała. Inny znów myt głosi, jakoby fijołki wtedy ziemia wydała, kiedy Jowisz boginię Jo (Ijo), w krowę przemienił. W ogóle starożytni fijołki bardzo lubili, kiedy je w Atenach takie mnóstwo hodowano, że aż to miasto przezwano fijołkowem.

(d. c. n.).

---

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

---

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

*(Dodatek.)*

# PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg)

Ciotka moja nakłania panią żebyś wstąpiła do klasztoru... czemuż nie idziesz za jéj radą?

— Lubię świat i życie.

Popatrzył na nią chwilkę, a potem rzekł.

— O tak! pani lubisz życie – słońce, myśl, sztuki, zbytek, przepych, wszystko co jest równie jak ty świetnem i pięknem.... A więc panno Karolino, chciéj tylko wyciągnąć rękę, a posiędziesz wszystko...

Zdziwiona i nieco zmięszana, spojrzała nań pytatając:

— Jakim sposobem?.

— Jeśli, jak jestem przekonany, siła twéj duszy równa się sile twéj piękności i rozumu, możesz od razu wydobyć się na zawsze z téj nieszczęsnéj podległości w jaką los cię rzucił. Młoda, piękna, utalentowana, wysoko ukształcona, możesz każdéj chwili zostać wielką artystką, niezależną, sławną, uwielbianą, bogatą ulubienicą Paryża i całego świata....

— A w dodatku i pana.. przerwała dziwna dziewczyna.

— O! daruj panno Karolino,... nie posądzałem cię o żadną myśl dwuznaczną, kiedy ofiarowałaś się podzielić ze mną niekoniecznie pewne ubóstwo moje.... proszę więc chciéj mi zarówno oddać sprawiedliwość. Nie zaprzeczam że moje zasady moralności, bynajmniéj nie zalecają się surowością, ale jestem równie dumny jak pani, i nie zmierzam do celu podziemnemi ścieszkami. Jakkolwiek w moich oczach jesteś pani niewypowiedzianie piękną i zachwycającą, jednak kierowało mną wyższe uczucie niż interes osobisty; współczucie powodujące obecnem postąpieniem pani, wzruszyło mnie głęboko, i dla tego chciałem odpłacić ci się radą prawdziwego przyjaciela.... Ale jak tylko możesz pani przypuszczać, iż byłbym zdolny do tak zacnego uczynku, aby dla własnéj korzyści popchnąć cię drogą skażenia, nie mam nic do powiedzenia i nie zatrzymuję już pani.

— Owszem, mów pan, proszę.

— Czy będziesz pani słuchać mnie z ufnością.

— Tak jest.

— Jakkolwiek mało bywałaś pani w świecie, miałaś już jednak sposobność poznać go i osądzić: czy warto zważać na jego wyroki i starać się o uznanie. Swiat, to twoja i moja zarazem rodzina, to pan, pani i ex panny Tonnellier; to pani de La Roche-Jugan i synek jéj Zygmunt. A więc gdy zostaniesz pani wielką artystką, bogatą, tryumfującą, sławną, ubóstwianą, w dniu tym najniezawodniéj mój wuj Tonnellier narzekać będzie na obrazę moralności, pani Tonnellier zemdleje ze wstydu w objęciach swych dawnych kochanków, a ciotka de La Roche-Jugan wzniesie z żałośnym jękiem swe żółte oczy ku niebu, ale pytam się ciebie, panno Karolino, co to wszystko może cię obchodzić?..

— Więc radzisz mi pan zostać damą pół-świata?

— Bynajmniéj — radzę pani tylko abyś depcząc zastarzałe przesądy, została wielką artystką sceniczną, bo to jedyny zawód w którym możesz znaleźć majątek i niezależność. Zresztą, jeśli koniecznie chodzi ci o uznanie świata, to jako znakomita artystka łatwo możesz pójść za mąż i być powszechnie szanowaną, jak tego tyle widzisz przykładów.

— Nie panie, bądź co bądź, bez matki, bez opieki, bez rodziny, zawsze kiedyś przyszłaby chwila iż straciłabym dobre imie... wiem o tem aż nadto dobrze...

P. de Camors nic nie odpowiedział.

— Dla czego nie odpowiadasz mi Pan?

— Ponieważ w téj drażliwéj materyi, pojęcia i wyobrażenia nasze są bardzo sprzeczne; swoich odmienić nie mogę, a nie chciałbym pozbawić cię twoich. Ja pod tym względem jestem zupełnym poganinem.

— Jakto?. . . więc złe i dobre zupełnie panu obojętne?

— Nie, panno Karolino, — ale cóż to jest złe a co dobre? złem dla mnie jest: obawa opinij świata i ludzi którémi pogardzamy; wykonywanie praktyk w które niewierzymy, schylanie karku pod jarzmem mar i przesądów których poznaliśmy nicość; złe jest to być niewolnikiem lub hipokrytą jak dziewięć dziesiątych na świecie, nakoniec jest to brzydota, nieokrzesanie, ciemnota, nikczemność i podłość. Dobrem zaś jest: piękność, talenta, nauka i odwaga... po za tem... nic więcéj.

— A Bóg? zapytała.

Znowu nic nie odpowiedział.

Chwilę bystro wpatrzyła się w niego — odwrócił oczy. Ona ciężko głowę opuściła na piersi, potem podnosząc ją nagle, rzekła:

— Są uczucia, których mężczyzna nigdy nie pojmie; w ciężkich chwilach smutku i goryczy, nie jednokrotnie myślałam o tem świetnem i niezależnem życiu jakie mi pan radzisz... i zawsze odpychałam je od siebie, wiedziona jedną, jedyną myślą....

— Jakaż to myśl?

— Może jest to uczucie mnie tylko właściwe... może pycha zbyteczna, nie wiem — dość że mam tak wielkie poszanowanie dla własnéj mojéj osoby, jak dla największéj świętości. I gdybym nawet, do czego mi, dzięki nieba, bardzo daleko, równie jak pan w nic a w nic zupełnie nie wierzyła, to jeszcze przez samą dumę pozostałabym zawsze uczciwą i czystą, wierną jedynéj mojéj miłości.... O tak dodała z cicha, stłumionym ale przejmującym głosem,

prędzéj byłabym zdolna sprofanować ołtarz niż siebie samą.

Powiedziawszy to, dumnie skinęła głową na znak pożegnania i prędko wyszła z pokoju.

P. de Camors, był dziwnie jakoś zamyślony i zaniepokojony; podziwiał niewymownie niezgłębione tajniki charakteru panny de Luc d'Estrelles, sam nie wiedząc czemu niekontent był z siebie, i co gorsza, żywo bardzo zajęty swą kuzynką. Ale ponieważ nie koniecznie wierzył w szczerość kobiet, wmówił w siebie powoli iż ofiarując mu serce i rękę, panna de Luc d'Estrelles doskonale wiedziała, że bądź co bądź, w swojem położeniu byłaby bardzo jeszcze dobrą zrobiła partję; pomyślał iż kilka lat dawniéj, byłby może dał się ułowić na wędkę téj wyrachowanéj szczerości, winszował sobie że nie wpadł w te urocze sidła i umiał pokonać pierwsze porywy zaufania i rzeczywistego wzruszenia. Zawczesne to były powinszowania; wkrótce albowiem przekonał się, iż panna de Luc d'Estrelles była w téj okoliczności, jak się to często zdarza kobietom, najzupełniéj szczerą, szlachetną i bezinteresowną; tylko dzięki panu de Camors, wątpić należało, czy jeszcze kiedykolwiek w jéj życiu podobna pojawi się chwila?... Jakże to często zbytnią pogardą popychamy ludzi na najgorsze drogi; jakże często zbytnia nieufność staje się przyczyną zguby kobiet!

W niecałą godzinę późniéj zapukano znowu do drzwi biblioteki, Camors drgnął; w duszy jego przemknęła skryta nadzieja, że to panna de Luc d'Estrelles powraca, drzwi się otwarły i... wszedł jenerał.

Szedł mierzonym krokiem sapiąc jak potwór morski, i nagle zbliżając się, porwał go za kołnierz i rzekł:

— No! i cóż, młodzieńcze?

— A nic, jenerale.

— Co tu porabiasz?

— Pracuję, jenerale.

— Wybornie!... Siadaj!... no! siadajże proszę.

I sam rzucił się w fotel na którym przed chwilą siedziała panna de Luc d'Estrelles. Camors pomyślał sobie, że perspektywa dziwnie niekorzystnie się jakoś zmieniła.

— No i cóż? powtórzył po długiem milczeniu.

— No nic, jenerale.

— Nic.... nic.... piękne mi nic... Czy nie widzisz, że od kilku dni jestem nadzwyczaj wzruszony?

— Doprawdy jenerale, wcale tego nie dostrzegłem.

— To znaczy że nie jesteś dobrym dostrzegaczem.... Jestem niesłychanie wzruszony.... to w oczy bije... i do tego stopnia, że, słowo honoru ci daję, chwilami gotów jestem wierzyć, iż ciotka twoja ma słuszność, i że rzeczywiście mam coś w sercu....

— Cóż znowu, jenerale, ciotka moja sama nie wie co gada.... masz puls spokojny jak u dziecka.

— Tak sądzisz?... No! zresztą nie lękam się śmierci, ale zawsze to nie miło!...... Zanadto jestem niespokojny i wzruszony... trzeba żeby się to już raz skończyło — czy słyszysz młodzieńcze!...

— Zapewne jenerale — ale cóż ja na to poradzę?

— Zaraz się dowiesz!...:. Wszak jesteś moim krewnym?

— Mam ten zaszczyt, jenerale.

— No, ale bardzo dalekim — mam trzydziestu sześciu kuzynów w tym samym stopniu.... zatem, do stu katów! nie mam żadnych względem ciebie obowiązków.

— Ależ ja nic nie wymagam od ciebie, jenerale.

— Wiem o tem.... Jesteś więc moim bardzo dalekim krewnym — ale jest inna rzecz... W Afryce ojciec twój ocalił mi życie... czy mówił ci o tem? Nic. — Nie dziwi mnie to bynajmniéj.... O! ojciec twój nie był wielomównym — to mi dopiero był człowiek!... Jakże to świetną miał przed sobą przyszłość, gdyby był nie wyszedł z wojska.... Mówią dziś tak wiele o panach: Pelissier, Canrobert, Mac-Mahon i tylu innych.... nie mam nic przeciwko nim są to ludzie zdolni, ukształceni.... ale ojciec twój mógł ich wszystkich przewyższyć, gdyby tylko był chciał. No, ale nie o to chodzi. Oto jak się rzecz miała: Przebywaliśmy wąwóz Atlasu... był to odwrót.... ja nie dowodziłem, uczestniczyłem tylko jako amator, mało cię to może obchodzić dla czego.... aż tu nagle, jakby z księżyca, spada na nas grad kul i kamieni.... co sprawiło zamieszanie w szeregach. Ja byłem w tylnéj straży; wtem paf! ubito podemną konia, i z nim razem padłem na ziemię. Na pochyłem, piętnaście stóp wysokiem urwisku wąwozu, stało pięciu osmolonych brudasów.... dotąd mam ich przed oczami. W mgnieniu oka spuszczają się w dolinę i wpadają na mnie. Wąwóz zakręcał się w tem właśnie miejscu, nikt więc nie widział.... czyli co na jedno wyjdzie, nie chciał może widzieć mego kłopotu. Mówiłem już że zamięszanie panowało w szeregach. Łatwo pojmiesz, że leżąc pod zabitym koniem, otoczony przez pięciu Arabów... nie koniecznie w miłem byłem położeniu. Wtedy to przypadł twój ojciec, i mężnie i odważnie wyratował mnie z biedy.... wprawdzie pomagałem mu szczerze, gdy już mogłem zerwać się na nogi.... ale mniejsza o to, nie zapomina się takich przysług. No! mówmy jasno i węzłowato. powiedz mi, czy masz co przeciwko temu, żeby odziedziczyć po mnie siedmkroć-sto-tysięcy franków dochodu, i nazywać się, margrabią de Campralion d'Armignes?

Młody człowiek lekko się zarumienił. Nazywam się hrabia Ludwik d'Ardennes de Camors, odpowiedział.

— Więc nie chcesz abym cię adoptował.... nie chcesz odziedziczyć mego majątku i nazwiska?

— Tak, jenerale.

— Czy chcesz żebym ci zostawił do namysłu?

— Nie jenerale. Jestem nieskończenie wdzięczny za twe szlachetne względem mnie zamiary, ale w kwestjach dotyczących honoru nie namyślam się nigdy.

Jenerał zasapał głośno jak lokomotywa wypuszczająca parę; wstał, przeszedł kilka razy po pokoju, i znów ciężko rzucając się w fotel, rzekł:

— Jakież są twoje zamiary na przyszłość?

— Najpierw, jenerale, muszę probować powiększyć nieco mój majątek, trochę więcéj jak mały. Nie jestem tak nieobeznany z interesami, jak powszechnie myślą; stosunki ojca i moje dają mi wstęp do kilku wielkich przedsiebierstw przemysłowych i finansowych, i mam nadzieję że przy pracy i silnéj

woli, dojdę zamierzonego celu. Daléj, chcę jednocześnie przysposabiać się do publicznego zawodu, i w razie przyjaznych okoliczności, ubiegać się o krzesło deputowanego.

— Doskonale! to lubię!... Człowiek powinien oddać się użytecznéj pracy, bo próżniactwo jest źródłem wszelkiego złego. Więc tedy chcesz zostać deputowanym?

— Kiedyś, jenerale.

— No! to mogę ci w tem dopomódz. Gdy uznasz że nadeszła stosowna chwila, powiesz mi słówko — wtedy ja podam się do dymissji, polecę cię poczciwym i wiernym moim wyborcom, i zajmiesz moje miejsce. No, zgadzasz się na to?

— Najzupełniéj jenerale i dziękuję jak najserdeczniéj, ale dla czegóż masz podawać się do dymissji?

— Dla czego? dla czego?.. najpierw dla tego żeby ci oddać przysługę, a powtóre, że mi się już to wszystko sprzykrzyło, i chętnie dam rządowi tę małą nauczkę. Chciałbym szczerze żeby nie była bezowocną!.. Znasz mnie przecie i wiesz, że nie jestem jakóbinem, z początku myślałem że jakoś to będzie... ale widząc co się dzieje....

— Cóż się dzieje, jenerale?

— No! jak tylko taki Tonnellier mógł zostać wielkim dygnitarzem... o! daję słowo, chciałbym mieć pióro Tacyta... A ileż to jeszcze byłoby do powiedzenia!.. No, dość tego — jak już poczynisz potrzebne przedwstępne kroki, podam się do dymissji... Czy posiadasz jaki majątek ziemski w tym departamencie?

— Tak jenerale; mam pałacyk i małą wioskę odziedziczoną po matce, nazywającą się Reuilly.

— Reuilly!.., dwa kroki od majętności pana Des Rameurs — wybornie!... doskonale — tego właśnie trzeba.

— Tak, tylko, niestety muszę sprzedać ten majątek.

— A toż po co, u djabła?

— Bo to dziś cały mój majątek. Majętność ta przynosi 10,000 fr. dochodu; chcąc wdać się w spekulacje, potrzebuję jakiegoś kapitału zapasowego, a nie chcę pożyczać.

Jenerał wstał, i znów ciężkie jego kroki głośnem echem odbiły się w sali—po chwili rzucił się na kozetkę.

— Nie sprzedawaj téj majętności, zawołał. Nie mam względem ciebie żadnych obowiązków... ale mam dla ciebie wiele przyjaźni i życzliwości. Przykro mi bardzo że nie chcesz zostać moim przybranym synem — ale darmo — zawiadamiam cię więc że zmieniam zamiar — i z kolei myślę o czem innem. Chcąc zostać deputowanym, nie możesz sprzedawać majątku; wyborcy departamentalni, a szczególniéj Des Rameurs, nigdyby w takim razie nie zgodzili się na twoją kandydaturę. A jednak to pewna że potrzeba ci pieniędzy. Pozwól mi więc, synu dawnego mego przyjaciela, abym ci pożyczył bez procentu, 300,000 fr. Oddasz mi jak będziesz mógł, a jeśli chcesz wielką sprawić mi przyjemność, nie oddawaj mi wcale.

— Ale, jenerale.

— Żadnego ale!... przyjmij jak od krewnego... jak od przyjaciela.... jak od dawnego towarzysza broni ojca twego.... wreszcie jak tam sobie chcesz, ale przyjmij koniecznie.... inaczéj boleśnie mnie obrazisz!

P. de Camors wstał, ujął rękę jenerała którą uścisnął rozrzewniony, i rzekł cichym, wzruszonym głosem.

— Więc przyjmuję, jenerale, i serdecznie dziękuję.

— Usłyszawszy te słowa, jenerał zerwał się jak lew rozwścieczony, z najeżonym wąsem, z rozdętemi i drgającemi nozdrzami, dzikim wzrokiem spojrzał na p. de Camors, i przyciskając do piersi, ucałował serdecznie. Potem zwrócił się do drzwi zwykłym swym ciężkim i uroczystym krokiem, i wyszedł ocierając ukradkiem łzę spadającą mu po licu.

Zacny to był i szlachetnego serca człowiek, i jak wielu jemu podobnych, nie zaznał szczęścia na świecie. Można było rozśmiać się z jego śmiesznostek, ale nikt nie mógł zarzucić mu coś nagannego. Miał umysł nieco słaby, ale wielkie serce, był delikatny, namiętny, skromny jak kobieta, nie znał prawie miłości, i nigdy nie był kochany; z kobietami był dziwnie nieśmiały. Mając lat 40 ożenił się z biedną sierotą po pewnym poległym w boju pułkowniku, ta po kilku latach pożycia zdradziła go nikczemnie dla jednego z jego adjutantów. O wiarołomstwie żony dowiedział się od współzalotnika, niecnéj szukającego zemsty. Pan de Campralloн wtedy podał się do dymissji i w dwóch, dzień po dniu następujących pojedynkach, o których po dziś dzień pamiętają w Afryce, zabił z kolei winnego i donosiciela. Żona jego umarła niedługo potem, i biedny jenerał pozostał sam na świecie, smutniejszy i więcéj osamotniony niż kiedykolwiek. Nie umiał zstąpić do rzędu tych ludzi co w łatwych miłostkach szukają zapomnienia i pociechy; rumienił się na każde wolniejsze słówko; bał się i odwracał oczy od baletu. Nie śmiałby nigdy wyznać, ale to pewne jednak, że w swoim wieku ze swemi sumiastemi wąsami i straszną, przerażającą miną, marzył skrycie o szczeréj pełnéj poświęcenia miłości jakiéj gryzetki, u stóp któréj mógłby nie wstydząc się, roztoczyć z całą ufnością wszystkie skarby czułości swego bohaterskiego, pełnego prostoty serca.

Wieczorem tego dnia, tak płodnego w ważne dla p. de Camors wydarzenia, panna de Luc d'Estrelles kazała przeprosić, że z powodu mocnéj bardzo migreny nie przyjdzie na obiad; to oznajmienie wywołało szmer ogólny i cierpkie przycinki p. de La Roche-Jugan, dające do zrozumienia, że nagła ta migrena zupełnie nie pasuje do położenia panny Karoliny. Dzięki pp. Bacquiére i Van Cnyp oraz ich mężom świeżo przybyłym z Paryża, obiad przeszedł wesoło; ku końcowi, chcąc uczcić to połączenie, czułe małżeństwa tak hojnie raczyły się winem szampańskiem tak wesoło naśladowały ruchy i wyrażenia bulwarowych aktorów i hecarek, że usługujący lokaje ubawili się wybornie. Po obiedzie, gdy podano czarną kawę, pani de La Roche-Jugan porwała jenerała za rękę i trzymając puls, wołała że jest nadzwyczaj nieregularny i niespokojny.

Nazajutrz rano, o zwykłéj godzinie śniadania, wszyscy goście jenerała zebrali się znowu w tejże saméj jadalnéj sali, brakło tylko p. d'Estrelles,—widać

wczorajsza migrena nie opuściła jéj jeszcze. Zauważano także nieobecność jenerała, odznaczającego się zwykle wytworną grzecznością i zegarkową akuratnością: już zaczęto się trochę dziwić i niepokoić, gdy wtem otworzyły się obie połowy drzwi, i ukazał się jenerał prowadzący pod rękę pannę de Luc d'Estrelles. Ona bardzo blada, na oczach znać było świeże łez ślady, jenerał pomieszany i czerwony. Postąpił kilka kroków ku środkowi sali, jak aktor zamierzający ukłonić się publiczności, powiódł w około piorunującym wzrokiem, westchnął ciężko trzy razy i krzyknął przeraźliwym głosem: Ukochani goście i przyjaciele, pozwólcie mi przedstawić sobie przyszłą margrabinę de Camprallon d'Arminges!

Lodowisko pod biegunem północnym, nie może być tak milczącem ani zimniejszem, jak salon jenerała po wygłoszeniu tego oznajmienia.

P. de Camprallon trzymał się na swojem stanowisku, nie puszczając ręki panny de Luc d'Estrelles, i wodząc po przytomnych strasznemi oczyma; ale powoli wzrok stawał się błędnym, źrenice drgały jakoś konwulsyjnie, tak się zadziwił i zakłopotał wrażeniem jakie wywołał.

P. de Camors przyszedł mu w pomoc. Wstał i ścisnął go za rękę mówiąc:

— Pozwól mi jenerale, szczerze powinszować ci twego wyboru. Cieszę się twojem szczęściem — nadto, jest to właśnie postępek godny ciebie.

Następnie zbliżając się do panny d'Estrelles, ukłonił się z pełną wdzięku powagą i ścisnął ją za rękę.

Ale czekało go nadspodziewane widowisko — odwracając się, postrzegł jenerała w objęciach swéj ciotki de La Roche-Jugan, potem przyszła koléj na pannę de Luc d'Estrelles, która przeraziła się trochę, bo wnosząc z gwałtowności odbieranych uścisków, mogła mniemać, że ukochana kuzyneczka pragnie ją udusić.

— Jenerale, wyjąkała nareszcie, pani de La Roche Jugan, płaczliwym głosem, polecam ci ją... oddaję twéj opiece tego anioła... tak ją kocham... to moja córka... moje drogie dziecię... Zygmuncie, uściskaj twoją kuzynkę... wszak pozwalasz jenerale?.. O doprawdy! dopiero kiedy nam je przyjdzie tracić, poznajemy jak kochamy drogie te istoty! O! raz jeszcze polecam ci ją jenerale!.. I to powiedziawszy, rzewnemi zalała się łzami.

Słysząc to wszystko, jenerał zaczął mieć bardzo dobrą opinię o sercu pani de la Roche-Jugan, i zapewnił ją uroczyście, że panna de Luc d'Estrelles, znajdzie w nim najlepszego ojca i przyjaciela.

Pozyskawszy to słodkie zapewnienie, pani de La Roche-Jugan poszła usiąść po za firanką, w najdalszéj framudze okna, i godzinę przeszło słyszano ją płaczącą i ucierającą nos co chwila, nie jadła śniadania, widać szczęście odebrało jéj apetyt.

Gdy już pękły pierwsze lody, wszyscy jakoś odzyskali moc nad sobą, i umieli zachować się odpowiednio do okoliczności. Jednakowoż rodzina Tonnellier nie okazywała tak wielkiéj radości jak czuła hrabina, i nie trudno było poznać, z jak gorzką zazdrością panie Bacquieré i Van-Cnyp, myślały o tym deszczu złota i djamentów, mającym spaść na ich kuzynę i w całem świetle wykazać cudowną jéj piękność. Przykre to uczucie dotkliwie oddziałało na ich mężów, którzy z tego powodu nie jedną ciężką przebyli chwilę. Zresztą, zacna ta rodzina, widząc że nie ma się już na co oglądać, zaraz nazajutrz po bardzo chłodnem pożegnaniu, odjechała do Paryża.

Pani de La Roche-Jugan postępowała z daleko większą godnością i szlachetnością. Oznajmiła wyraźnie że do ostatniéj chwili, do stopni ołtarza, do progu małżeńskiéj komnaty, będzie jak dotąd, matką i opiekunką swéj ukochanéj Karoliny, że z najmilszą chęcią zajmie się wyprawą i w swym domu wyprawi wesele.

— A niech mnie kaci porwą! kochana hrabino, wołał zachwycony jenerał, muszę ci wyznać, że mnie w niewypowiedziane wprawiasz zdumienie! Jakże strasznie, jak okropnie byłem względem ciebie niesprawiedliwy! Tak, wyznaję z pokorą, byłem pewny, że jesteś bez serca, interesowna, nieszczera.... a tu przekonywam się, żeś najlepsza, najszlachetniejsza kobieta, ze złotem sercem i wzniosłą duszą. Otóż, kochana przyjaciółko, znalazłaś najlepszy sposób nawrócenia mnie, skoro ci tak oto chodzi. Myślałem często, że pod względem religji, honor wystarcza mężczyźnie, wszak prawda, panie de Camors.... no! ależ nie jestem znowu bezbożnym niedowiarkiem, kochana hrabino,.... i daję ci na to moje święte słowo, iż ilekroć spotkam istoty tak jak ty doskonałe, mam ochotę wierzyć we wszystko w co one wierzą, choćby tylko dla tego żeby im zrobić przyjemność.

P. de Camors, który jak to wiemy, nie grzeszył zbytnią naiwnością, śledził ciekawie co może być powodem téj zmiany frontu w polityce jego ciotki. Zbadanie téj tajemnicy nie wiele kosztowało go zachodu. Pani de La Roche-Jugan, która w końcu sama uwierzyła w istnienie owego anewryzmu, jaki od tak dawna wmawiała w jenerała, pocieszała się tem, że kłopoty małżeńskie mogą przyśpieszyć znacznie koniec starego przyjaciela; wszakże miał już lat przeszło 60. Z drugiéj znów strony, Karolina i Zygmunt oboje byli młodzi, zatem w ostatnim razie, Zygmunt zaczeka lat kilka, przez ten czas będzie się ciągle zalecał i starał o łaski młodéj margrabiny, aż do chwili, w któréj na świeżym grobie jenerała, zaślubi jego wdowę wraz z całym majątkiem i ogromnemi dochodami.

Tak to, pani de La Roche-Jugan, przygnębiona chwilowo nadspodziewanym ciosem, który od razu obalał wszystkie jéj tak długo żywione nadzieje, potrafiła nagle, pod samym ogniem nieprzyjacielskim zmienić plan i sposób wojowania. I oto o czem właśnie myślała, płacząc i nos ucierając za firanką.

(d. c. n.)



Moine et Falconer imp. r. St Louis en l'Ile 90. Paris.

1269

# TYGODNIK MÓD

w Warsawie